

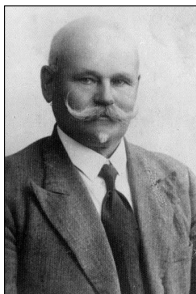
MONASTERZYSKA NA KRESACH

Przyjazd ojca * Czołgi z czerwoną gwiazdą * Gimnazjum w Stanisławowie * Dwie klasy 10-latk

Monasterzyska to ok. 10-tysięczne miasteczko na kresach wschodnich, położone około 80 km od rzeki Zbrucz, ówczesnej granicy Polski i ZSRR. Najbliższym dużym miastem był Stanisławów, leżący po drugiej stronie Dniestru w odległości ok. 40 km.

Przez Monasterzyska przepływała niewielka rzeka Koropiec, na której znajdowało się kilka drewnianych mostów. Największym obiektem w mieście była fabryka tytoniu, położona w centrum, obok placu targowego. Stanowiła ona główne miejsce pracy dla miejscowej ludności i źródło dochodów dla licznych plantatorów tytoniu w całym regionie. Przez miasto przechodziła linia kolejowa od Stanisławowa do granicy i leżało ono na rozwidleniu szosy od granicy ZSRR i Rumunii na Lwów oraz Stanisławów.

Ludność miasteczka, podobnie jak wielu innych w tych granicznych województwach, stanowili w połowie Polacy, zaś w jednej czwartej Ukraińcy oraz Żydzi. W ogóle Polska południowo-wschodnia stanowiła tygiel trzech narodowości: ukraińskiej, polskiej i żydowskiej. Ten podział narodowościowy w znacznym stopniu pokrywał się z podziałem społecznym. Ukraińcy to byli przede wszystkim chłopci. Polacy stanowili połowę ludności miejskiej i zdominowali prawie całą administrację oraz słabo rozwinięty przemysł. Zaś Żydzi skupiali w swych rękach praktycznie całe rzemiosło i handel w miastach. Tak było we wschodniej Galicji od ponad stu lat i pod tym względem międzywojenna Polska niewiele zmieniła.



W mieście mieszkała spora rodzina mej matki. Dziadek, Rudolf Pielichaty, miał stosunkowo duże gospodarstwo rolne i był już na emeryturze. Podobnie gospodarował na roli wuj Ferdynand, zaś ciocia Janka miała sklepik spożywczy, w którym pomagał jej młodszy brat Zbyszek. Wujek Henryk aktualnie był w wojsku, podobnie jak najmłodszy Edward, służący ochotniczo w Korpusie Ochrony Pogranicza. Dwoje dalszych rodzeństwa mamy, Waclaw i Aniela, przebywało od dawna poza Monasterzyskami.

Mieliśmy więc solidne oparcie w nowym miejscu przebywania. Zakwaterowaliśmy tymczasem u wujka Ferdka. Równocześnie mama od razu rozpoczęła starania o zamieszkanie we własnym niedużym domku, jaki rodzice nie tak dawno zakupili. Musiała się jednakże wcześniej wyprowadzić rodzina tam zamieszkująca na zasadach wynajmu, co wymagało trochę czasu. W nowym miejscu zamieszkania nie miałem żadnych istotnych zajęć, trochę tylko pomagałem wujowi w pracy w polu. Poza tym wałęsałem się po okolicy.

Wygląd, stan gospodarczy, w ogóle poziom cywilizacyjny tych południowo-wschodnich terenów Polski, różnił się znacznie na minus od tego, co dotąd widziałem i znałem na Górnym Śląsku i w Poznańskim. Przede wszystkim bardzo nędzne były wsie, w których dominowały gęsto zabudowane chaty-lepianki z gliny, kryte słomą. Na roli zaś podstawowymi narzędziami pracy były motyka, sierp oraz cep. Do pługów zaprzęgano niekiedy krowy, gdyż na wynajem, czy posiadanie konia, mogli sobie pozwolić tylko

nieliczni, bogatsi chłopci.

Gospodarstwo Ferdka stanowił budynek mieszkalny, połączony z oborą i stodołą w jedną bryłę na kształt litery „L”. Całość z cegły i drewna, pokryta blachą ocynkowaną. Działka położona była na osobności, z dala od innych zabudowań, w pobliżu drogi wylotowej z miasteczka w kierunku Podchajec, Brzeżan i Lwowa. Od tej drogi oddzielało nas niewielkie wzniesienie. Otóż na nim, przez kilka dni ciągle upalnego, pięknego września, przy samej drodze, urządziłem sobie punkt obserwacyjny na to, co na niej się dzieje. A działo się w tych dniach wiele ciekawych rzeczy.

Od około 9 września jechały drogą z kierunku Lwowa długie sznury samochodów osobowych. Prawie wszystkie koloru czarnego i obciążone do granic możliwości walizkami i tobołami, lokowanymi także na dachach. Jechały nimi rodziny dygnitarzy i wojskowych, głównie z Warszawy i Lwowa, a także ewakuowane instytucje i urzędy centralne. Wszystkie te samochody wyjeżdżały z Monasterzysk w kierunku Zaleszczyk na granicy rumuńskiej.

Od 14 września pojawiły się na drodze konne tabory wojskowe. Aut osobowych było coraz mniej, zaś narastała rzeka podwodów, krytych plandekami i prowadzonych przez uzbrojonych żołnierzy. Wozy często zatrzymywały się, gdyż tworzyły się zatory. Wtedy zwykle żołnierze siadali na skarpie przydrożnej, palili papierosy i przewijali onuce. Tabory te świadczyły, że linia frontu zbliżała się nieubłaganie. Faktycznie Niemcy byli już wtedy pod Lwowem, czyli niewiele ponad 120 km od naszej miejsciny.

W dniu 17 września zdarzyła się rzecz dla mej rodziny bardzo radosna i szczęśliwa. Przyjechał ojciec cały i zdrowy, choć straszliwie umęczony. Przebył w ciągu tego dnia na rowerze prawie 120 kilometrową trasę z Brodów do Monasterzysk.

Niesamowite były jego losy od naszego rozstania się 29 sierpnia. Otóż, już tamtej nocy ojciec stoczył znaczącą potyczkę na granicy z grupą uzbrojonych dywersantów niemieckich. Byli oni ubrani po cywilnemu, zaś każdy z nich uzbrojony był w karabin, czeski pistolet i pałkę gumową z prętem metalowym. Zajęli prawie cały teren Huty Zygmunt, odległej około 500 metrów od granicy. Próbowali też zdobyć placówkę Straży Granicznej, usytuowanej na terenie zakładu.

Kierowana przez ojca 9-osobowa obsada placówki stawiała jednakże skuteczny opór ponad dwie godziny do czasu uzyskania pomocy ze strony kompanii wojska polskiego, jaka kwaterowała akurat w szkole podstawowej w Hubertusie. Wówczas Niemcy wycofali się za granicę, zabierając swych kilkunastu rannych i zabitych. Starcie to skończyło się około godziny trzeciej w środę 30 sierpnia, a więc miało miejsce dwie pełne doby przed otwarciem ognia przez pancernik „Schleswig-Holstein” na Westerplatte w Gdańsku, co uważane jest za początek wojny.

Od wczesnego ranka 1 września placówka graniczna ojca znajdowała się pod ogniem karabinu maszynowego z terenu przygranicznego szybu kopalnianego, zajętego w nocy przez Niemców. Ostatecznie ojciec, wraz ze swym zastępcą, wycofali się jako ostatni z bronionej placówki Straży Granicznej nocą 2/3 września.

Kiedy podeszli do zabudowań Łagiewnik, to zostali przywitani ogniem karabinowym z okien szkoły podstawowej. Natomiast po cofnięciu się w kierunku Hubertusa zostali z kolei ostrzelani przez polską załogę znajdującą się tam fortu, która sądziła, że są to przebrani w polskie mundury dywersanci niemieccy. Musieli więc przedzierać się przez pola i bezdroża między Lipinami i Świętochłowicami.

Nawiasem mówiąc, po latach moja siostra we Wrocławiu spotkała człowieka, który był dowódcą tego fortu w Hubertusie. Opowiadał jej jak to odparli atak dywersantów niemieckich na bunkier forteczny. Dopiero od siostry dowiedział się, że strzelali wówczas do Polaków.

Gdy ojciec zjawił się na punkcie koncentracyjnym w Katowicach, koledzy powitali go z radością, bo sądzili, że już nie żyje. Mianowicie bojówki niemieckie, które opanowały przygraniczne miejscowości na Śląsku, miały przygotowane listy proskrypcyjne byłych powstańców śląskich, wojskowych, funkcjonariuszy Straży Granicznej itp. Aresztowano ich i rozstrzeliwano na miejscu. Tak było w Łagiewnikach, Cieszynie i wielu innych miejscowościach już w pierwszym dniu wojny.

W Katowicach ojciec, wraz z innymi swymi kolegami, włączony został do regularnej jednostki wojskowej, która zaczęła się wycofywać zaraz do Krakowa, po czym zajmowała kolejne pozycje obronne na przestrzeni aż do Brodów na wschodnich kresach Polski. Wyglądało to tak, że gdy tylko oddział umocnił się na jakiejś linii, wkrótce przychodziła wiadomość o zbliżaniu się czołgów niemieckich i rozkaz wycofania się do następnej linii obronnej. I tak oddział, bez oddania jednego strzału, po kilkunastu dniach pieszych marszów znalazł się w Rawie Ruskiej niedaleko Lwowa, a następnie w Brodach ok. 80 km od wschodniej granicy. Wobec rozprężenia i braku łączności, dowódca wydał rozkaz rozformowania oddziału. Każdy z żołnierzy miał działać odąd na własną rękę. Ojciec wiele się nie zastanawiał. Oddał karabin, kupił rower, zdjął bluzę wojskową, zabrał z jakiegoś rozbitego sklepu walizkę z czekoladą na bagażnik roweru i pojechał do nas do Monasterzysk.

Po drodze, przejeżdżając samotnie przez ukraińskie wsie, zdejmował swe solidne buty i jechał na bosaka. Obawiał się bowiem, że może ktoś połakomić się na te buty i napaść na niego. Miał oczywiście na taką ewentualność jeszcze pistolet z zapasem amunicji. Przyjechał jednak do nas z poranionymi stopami, które długo musiał potem leczyć. Walizka ze słodyczami, przywieziona przez ojca z Brodów, zawierała smakowite czekoladki, galaretki, cukierki. Objadaliśmy się nimi łakomie, ja i siostra, przez kilka dni.

Następny dzień 18 września też był brzemienny w wydarzenia. W godzinach południowych usłyszeliśmy potężny warkot od strony drogi prowadzącej do Stanisławowa. Krótki odcinek tej drogi, łączący miasto z przedmieściem, wraz z mostem na Koropcu, był doskonale widoczny z domu, w którym zamieszkiwaliśmy. Drogą z miasta w kierunku Halicza-Stanisławowa jechały czołgi. Były to czołgi rosyjskie, z wielkimi czerwonymi gwiazdami na wieżach, wszystkie jednakowe, z niedużymi działkami. Zacząłem je liczyć. Liczyłem do zmroku i również w nocy, obserwując światła reflektorów. Przestałem później liczyć, gdy przejechało 500 maszyn. A jechały jeszcze w następnym dniu.

Zaraz potem udałem się na mój punkt obserwacyjny przy drodze lwowskiej, skąd też dochodził szum motorów. Na szosie nadal stał sznur furmanek polskich taborów wojskowych, które wolno przesuwały się w kierunku miasta. Tam przy fabryce tytoniowej żołnierze byli rozbrajani, zaś wozy i przewożony sprzęt przejmowane przez świeżo urządzoną wojskową, rosyjską komendanturę miasta.

Jednakże tabory zajmowały tylko skrawek szosy i jej pobocze. Środkiem natomiast w kierunku Lwowa jechały nieprzerwanie samochody ciężarowe z czerwonoarmistami. Wszystkie samochody były jednego typu, Jak się potem dowiedziałem, były to słynne ZIS-y budowane w Moskwie na licencji amerykańskiej w setkach tysięcy egzemplarzy. Na samochodach siedzieli gęsto żołnierze w szarych szynelach, w szpiczastych czapkach i z karabinami, wyposażonymi w bagnety. Większość załóg śpiewała głośno jakieś marszowe, wojskowe pieśni. Wiele samochodów ciągnęło nieduże działka polowe i przeciwczołgowe.

Tak więc od strony Buczacza, od granicy, jechały zapewne dwa szeregi pojazdów, które rozdzielały się w Monasterzyskach na dwa kierunki, czołgi na pld.-zachód do Stanisławowa, samochody zaś w kierunku ptn.-zachodnim na Lwów. Gdy tak leżałem na łączce, przystanęło przy mnie kilku chłopów ukraińskich. Byli odświętnie ubrani w lnia-
ne, białe koszule, wyszywane kolorowo i wykładane na spodnie, Byli boso, ale na ra-

mionach mieli przewieszane buty, jakie wzuwali przy wejściu do miasta. Zapewne wracali lub szli do cerkwi. Słyszałem ich słowa kilka razy powtarzane: „Idut na Germańca!”.

Niedługo jednakże sążone mi było leżeć na swym punkcie obserwacyjnym nad szosą, gdyż wkrótce rozległa się od strony miasta kanonada ciężkiego karabinu maszynowego. Karabin strzelał długimi seriami, zaś pociski przelatywały ze świstem, wydawało mi się, że tuż nad moją głową. Uciekłem więc chyłkiem do domu, cały czas słysząc gwizd pocisków nade mną. Ustał dopiero, gdy dobiegłem zdyszany do domu.

Już tego wieczoru dowiedziałem się, co się zdarzyło. Mianowicie na głównym placu miasta grupa Żydów i Ukraińców witała czołgistów spontanicznie kwiatami. W odpowiedzi jeden z czołgów, zapewne dowódca, wystrzelał na wiwat kilka taśm pocisków. Narobił tym spore zamieszanie wśród witających, którzy raczej nie spodziewali się tak głośnej repliki. W tym samym czasie również moja siostra wraz z ciotką Janką wybrały się z ciekawości w kierunku centrum miasta. Uciekły natychmiast przerażone, gdy usłyszały przeraźliwą kanonadę i sądziły, że czołg ostrzeliwuje mieszkańców. Tegoż wieczoru widziałem jeszcze wielkie romby-taflę po 64 samolotów bombowych, lecących wysoko i powoli na zachód. Więcej samolotów jednocześnie oglądałem później tylko raz w 1944 roku, gdy eskadry superfortec amerykańskich leciały nad Warszawę.

Wojska rosyjskie przejeżdżały przez nasze miasteczko jeszcze przez kilka dni. Wszyscy myśleliśmy, że rozpoczyna się wojna rosyjsko-niemiecka. Słowa „Idą na Niemca!” powtarzali moi krewni, znajomi, przechodnie. Tak samo niewątpliwie myśleli i oceniali sytuację polski rząd i marszałek Edward Rydz-Śmigły, przekraczając w nocy 17 września granicę rumuńską w Zaleszczykach. Tak też zapewne sądził cały świat.

Rzeczywiście do Polski weszły dwa fronty Armii Czerwonej, liczące ponad 1,5 miliona żołnierzy, 5 tys. czołgów i wozów pancernych oraz 2 tys. samolotów. Była to więc chyba nawet większa siła, niż Niemcy zaangażowały w kampanię polską. Można to wytłumaczyć tylko faktycznym zamiarem podjęcia ofensywnych działań wojennych przeciwko Niemcom, gdyby ci nie wycofali się szybko do linii demarkacyjnej na Sanie i Bugu i gdyby przejawiali zamiar podjęcia wojny z ZSRR.

Hitler realizował jednakże swój długofalowy plan stopniowego podbicia całej Europy i ani myślał wikłać się, na tym etapie, w wojnę z Rosją. Zaś Stalin również nie miał żadnego interesu podejmować w pojedynkę wojny z potężnym przeciwnikiem. I chociaż było to marzeniem polityków zachodnich państw demokracji parlamentarnych, których dyplomacja okresu międzywojennego cały czas o to usilnie zabiegała - do wojny między Rzeszą Niemiecką i ZSRR w 1939 roku nie doszło.

Według późniejszych zgodnych ocen historyków Hitler do kwietnia 1939 r. był zdecydowany w pierwszej kolejności podbić Zachodnią Europę, odsuwając nieco w czasie opanowanie Polski i realizację swego głównego celu życia, to jest zniszczenie komunizmu i ZSRR. Przeszkodą w urzeczywistnieniu tego planu stała się jednakże Polska, która w maju zawarła świeże sojusze wojskowe z Anglią i Francją. W zaistniałej sytuacji Hitler mógł faktycznie obawiać się, iż, po jego ataku na Francję, Polacy przyjdą jej z pomocą wszystkimi swymi siłami. Stąd Niemcy musiały wpierw rozprawić się z Polską i w sierpniu zaproponowały Związkowi Radzieckiemu pakt o nieagresji, w zamian za nie przeszkadzanie w tym zbożnym dziele. Kombinacja ta udała się w pełni i ostatecznie skończyła się podziałem Polski według linii ustalonej 23 sierpnia pomiędzy J. Ribbentropem i W. Mołotowem w Moskwie w tajnym załączniku do wspomnianego paktu.

W związku z tym w najbliższych tygodniach i miesiącach obserwowaliśmy więc powrót części wojsk rosyjskich na wschód, poza Zbrucz. Konsekwencją agresji niemieckiej na Polskę było też przystąpienie w dniu 3 września Anglii i Francji do wojny przeciw Niemcom. Jednakże po formalnym wypowiedzeniu wojny, oba te państwa,

zgodnie z przewidywaniami Hitlera, nie podjęły, praktycznie biorąc, żadnych działań militarnych, by faktycznie realizować swe wcześniejsze gwarancje udzielenia Polsce wsparcia wojskowego.

Gdy po krótkiej jednomiesięcznej kampanii wojennej zdano sobie sprawę, że Polska sromotnie ją przegrała, zaczęło się powszechne narzekanie i szukanie winnych. Obwiniano przede wszystkim władzę państwową za słabą, zacofaną gospodarkę, nie przygotowanie do wojny, okłamywanie społeczeństwa, bez troskę rządzących itp. Złożono na Francję i Anglię, które faktycznie nic nie zrobiły, by pomóc militarnie Polsce. Obruszano się też na Rosję za "nóż w plecy" i współpracę z Niemcami, mimo głoszonego przedtem potępienia faszyzmu niemieckiego.

Po 17 września w naszym mieście jakby niewiele się zmieniło. Żydzi uruchomili swe sklepy i zakłady rzemieślnicze, zaś w obiegu pozostawały nadal polskie złote z Piłsudskim na awersie. Wprawdzie większość towarów podróżowała, niektóre trudno było nabyć, ale w zasadzie handel i usługi ludności funkcjonowały. Również uruchomione zostały niektóre urzędy, ruszyły też pociągi.

Dla mnie i siostry najważniejsze było to, że wkrótce także otwarte zostały wszystkie szkoły. Niestety w Monasterzyskach nie było żadnej szkoły średniej. Wprawdzie społeczność miasteczka od lat dopominała się o zorganizowanie na miejscu gimnazjum, lecz bez rezultatu. Młodzież z miasta, chcąc się dalej uczyć, musiała jeździć pociągami do Buczacza lub Stanisławowa, albo zamieszkać tam na stacji. Od października zaczęliśmy więc dojeżdżać codziennie pociągami do Stanisławowa. Ja do pierwszej klasy tamtejszego III Państwowego Gimnazjum i Liceum im. St. Staszica, zaś siostra do trzeciej klasy Gimnazjum Sióstr Urszulanek. Przyjęci zostaliśmy bez żadnych dodatkowych egzaminów. Chodziłem, jak w szkole podstawowej, do klasy, w której byli tylko chłopcy.

W klasie wyróżniało się kilku chłopaków, ale nie według zdolności, czy zapału do nauki, lecz według udawanej siły fizycznej i grubiańskiego zachowywania się. Polegało to na używaniu wulgarnych słów, opowiadaniu sprośnych kawałów, poniżaniu i maltretowaniu słabszych kolegów oraz na wywyższaniu się przy każdej okazji. Celowali w tym zwłaszcza młodzieńcy z tak zwanych „dobrych domów”. Ich widoczna zamożność, elegancja w ubiorach i tupet nie przekładały się jednakże na zdolności, wiedzę, czy pracowitość. Sądzę, iż gdyby klasa była koedukacyjna, to nawet przy tej samej męskiej klienteli, jej zachowanie byłoby łagodniejsze, nie tak agresywne. Wszak dziewczyny, jak muzyka, łagodzą ponoć obyczaje.

W ciągu trzech miesięcy uczęszczania do gimnazjum nie zawarłem żadnych znaczących przyjaźni. Nie utrwalił mi się też w pamięci żaden profesorowie. Jako języka obcego uczyłem się francuskiego, z którego zapamiętałem do dziś liczebniki i wiersz-piosenkę po francusku „Panie Janie!”.

Dojazd do odległego Stanisławowa był oczywiście bardzo uciążliwy. Wstawaliśmy o piątej rano, wracaliśmy około siódmej wieczorem. Jechało się w jedną stronę dwie godziny, przy czym pociąg prowadził 2 wagony specjalnie dla młodzieży szkolnej. W połowie drogi, przed Niżniowem nad Dniestrem, było znaczne wzniesienie, żeby nie powiedzieć góra, na którą niekiedy lokomotywa nie mogła wjechać. Wtedy pociąg się cofał, maszynista ładował większą porcję drewna do paleniska, zaś gdy było już w kotle dużo pary, pociąg się rozpędzał i forsował wzniesienie. Dla zabawy niekiedy wyskakiwaliśmy z wagonów przy pierwszym nieudanym podejściu, natomiast wskakiwaliśmy z powrotem na górce za drugim razem.

Obiady jadałem w stołówce szkolnej, do miasta wychodziłem bardzo rzadko. Stanisławów liczył około 50 tys. mieszkańców. W tym ponad połowę stanowiła ludność polska, jedną czwartą Żydzi, a nieco mniej Ukraińcy. Charakterystycznym dla miasta było

to, że znaczna część domów miała fasady w białym kolorze.

Raz z całą klasą byliśmy na defiladzie czołgów z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, gdy w Stanisławowie stacjonował garnizon wojsk pancernych Armii Czerwonej. Wszyscy czołgiści, salutujący w wieżyczkach pojazdów, mieli skórzane hełmofony i kombinezony. Intrygowało mnie to wówczas, ale głęboki sens skózanego ubioru czołgistów zrozumiałem znacznie później, gdy na wojennych kronikach zobaczyłem jak łatwo palą się czołgi. A skóra się nie pali.

W międzyczasie rodzice przenieśli się do naszego własnego domu przy ul. Mołodeckiego 2. Usytuowany był około 300 metrów od fabryki tytoniu, przy bocznej uliczce, naprzeciw stacji kolejowej, od której oddzielała nas rozległa podmokła łąka i strumień, płynący tuż przy naszym ogródku. Budynek zawierał 3 izby mieszkalne, w tym kuchnię, oraz niewielką spiżarnię z podpiwniczeniem i werandę. Dach dwuspadowy, kryty dachówką, mieścił obszerny strych. W krótkim czasie ojciec pobudował też na działce mały budynek gospodarczy ze stanowiskiem dla jednej krowy, dwu świnek i z kurnikiem. Na stryszku było miejsce na siano i zboże.

Te koszmarne dojazdy do Stanisławowa trwały do grudnia. Zaś od początku 1940 roku rozpoczęły się przeróżne zmiany, organizowane przez nowe władze. Powstawały jakieś urzędy, realizowano nacjonalizację dużych majątków ziemiańskich i kościelnych, wprowadzono do obiegu nowe pieniądze karbowane.

Ale mnie to wszystko nie dotyczyło i nie interesowało w większym stopniu. Dla mnie najważniejszym było to, że w Monasterzyskach otwarte zostały dwie szkoły średnie: 10-latki, ukraińska i polska. Czyli mieliśmy możliwość kontynuowania nauki na poziomie średniego wykształcenia na miejscu.

Szkoła polska powstała na bazie istniejącej 6-klasowej szkoły podstawowej. Było więc ciasno i niektóre oddziały uczyły się na drugiej zmianie. Zacząłem chodzić do klasy szóstej, zaś moja siostra do siódmej, które były mniej więcej odpowiednikiem pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej. Obowiązywał program 10-latki radzieckiej. Cechowało go to, że przedmioty ścisłe stały na stosunkowo wysokim poziomie, ale gorzej było z przedmiotami humanistycznymi. Mieliśmy nowe podręczniki, częściowo tłumaczone z rosyjskiego. Wszystkie one miały kartonowe okładki i wydrukowane były na marnym, szarym papierze. Również wszystkie zeszyty miały twarde okładki, zaś pisało się fioletowym atramentem. Był komplet profesorów, w większości młode kobiety.

Szkoła położona była tuż za fabryką tytoniu, przy rozwidleniu drogi buczackiej na lwowską i stanisławowską. Mieściła się w sporym, piętrowym budynku, usytuowanym na ogrodzonej działce, obejmującej podwórkę rekreacyjne i ogródek przyszkolny. Do szkoły miałem obecnie ok. 400 metrów i już to samo diametralnie odmieniło tryb mego życia. Przedtem, przez kilka miesięcy, czas upływał na przejazdach do i z gimnazjum w Stanisławowie, na uczeniu się i spaniu. Obecnie zostałem wciągnięty także w wir prac w gospodarstwie, prowadzonym przez rodziców. Ale przede wszystkim nadal się uczyłem. Mogę szczerze powiedzieć, że włączając okres stanisławowski, aż do czasu przyścia Niemców w połowie 1941 roku, główną osią mego życia była nauka. Do czerwca 1940 r. chodziłem do klasy szóstej, potem do czerwca 1941 r. do klasy siódmej dziesięcioletniej, funkcjonującej w Monasterzyskach.

Na początku 1940 r. rodzice kupili młodą, mleczną krowę, na którą wołaliśmy „Basia”. Otóż do moich podstawowych obowiązków należało wypasanie tejże Basi. Bardzo wstydzilem się, gdy prowadziłem ją sąsiednimi uliczkami. Najwidoczniej nie wiedziałem wtedy, że Wincenty Witos swe młode lata spędził również za krowim ogonem, a był potem trzykrotnie prezesem rady ministrów. Najczęściej pasłem krowę w głębokim jarze

obok Góry Buczackiej. Tam nikogo nie było, uwiązana do palika, pasła się spokojnie, natomiast ja czytałem książki i uczyłem się, niekiedy na głos. W tym jarze ćwiczyłem też dykcję oraz siłę swego głosu, gdyż oceniałem, że mówię zbyt cicho. Wzorując się na Demostenesie wkładałem kamyki i żwirek do ust. I starałem się przekrzyczeć szum drzew. Jednakże jedynym efektem tych zabiegów było płoszenie się mej łaciatej krasuli. Niekiedy robiłem sobie ognisko, które podsycałem chrustem z jaru. Piekłem w nim ziemniaki, wygrzebane na sąsiednim polu mego dziadka. Sam je oczywiście potem konsumowałem, a smakowały znakomicie.

Raz, pasąc krowę, byłem świadkiem jak na tym polu mój dziadek i jego najmłodszy syn, a mój wujek Zbyszek, kłócili się ze sobą potwornie, bodaj o podział ziemi. Bąłem się wtedy bardzo, bo krzyczeli na siebie i machali motykami tak, że myślałem, że się pozabijają.

Do moich wyłącznych obowiązków należało też przynoszenie wody wiadrami od sąsiada, gdzie była pompa, oraz rąbanie drewna na opał. Wraz z ojcem jeździliśmy do własnego lasu i tam piłowaliśmy upatrzone drzewa. Po odrąbaniu gałęzi i okorowaniu pni, cięliśmy je na metrowe odcinki. Już w domu piłowaliśmy je na małe kawałki. A ja sam rąbałem je potem na szczapy, które układałem w małej drewni i przy południowej ścianie domu, celem przesuszenia.

Najcięższą pracą, jaką wykonywałem, było mielenie mąki na żarnach. Był to spory, spłaszczony walec kamienny, przed którym siedziałem okrakiem i obracałem go za pomocą wystającego, drewnianego uchwytu. Do otworu w środku tego „koła młyńskiego” wsypywałem garściami kukurydzę, lub pszenicę, zaś mąka wysypywała się dołem na obwodzie na kamienne podłoże. Do cięższych prac należało również młócenie zboża drewnianymi cepami, oraz krajanie łądyg kukurydzy, względnie słomy na ręcznej sieczkarni, ustawionej na podwórzu. Do najłżejszych prac zaliczyć można było łuszczenie kukurydzy, a także nawijanie na sznury liści tytoniowych, celem ich przesuszenia, ale też były to prace wyjątkowo nudne.

Do prac polowych chodziliśmy najczęściej wszyscy razem, w czwórkę. Główne roboty, w jakich brałem udział to: sadzenie kukurydzy, ziemniaków i tytoniu; okopywanie ziemniaków i tytoniu; plewienie, łuskanie i ścinanie kukurydzy; zbiór tytoniu oraz wykopki ziemniaków i buraków cukrowych. Bardzo nie lubiłem wszelkich prac, wiążących się z grzebaniem w ziemi, za co ojciec się niekiedy na mnie obruszał. Raz, przy ścinaniu kukurydzy, skaleczyłem się groźnie zębatym sierpem w mały palec lewej ręki, na którym do dziś mam długą bliznę.

Do orania ziemi ojciec wynajmował konia z pługiem. Sam natomiast ścinał zboże przy pomocy kosi, skonstruowanej przez siebie. Był w tym zakresie pionierem w okolicy, bo wszędzie do zbiórki zboża stosowano jedynie sierpy. Często chłopci, przechodzący obok koszącego ojca, przystawali z ciekawości i medytowali, że używanie cudacznej kosi powoduje duże straty ziarna. Oczywiście nie było to prawdą, ale „stare” zawsze wygrywa. **Prace polowe - wujek, siostra, tata**



Produkty z pobliskiego pola zwoziliśmy wózkami ręcznymi, z dalszego wynajmowanym wozem konnym. Mieliśmy około 5 morgów (austriackich) ziemi ornej, na co składały się zakupy z lat tuż przed wybuchem wojny i rodzinne wiano mamy. Ziemia ta dzieliła się na pięć odrębnych kawałków, z których dwa oddalone były kilka ładnych kilome-

trów od miasta..

Nie byliśmy w stanie uprawiać całej tej ziemi. Dwa najdalsze fragmenty rodzice podnajmowali więc dwóm, chyba bezrolnym, chłopom z najbliższej polskiej wsi, nazywającej się Stara Huta (nieco dalej była też wieś Nowa Huta). Otrzymywaliśmy w zamian jakąś część, bodajże połowę, uzyskiwanych przez podnajemców plonów. Byli oni analfabetami i na umowach podpisywali się jeden dwoma, a drugi trzema krzyżykami.

Było także jeszcze sporo zajęć okołodomowych, związanych z karmieniem zwierząt, pracami w ogrodzie warzywnym, przygotowywaniem posiłków, utrzymywaniem czystości, które głównie wykonywała mama. Pomagała jej w tym siostra, rzadziej również ja. Wykonywałem wtedy najczęściej takie czynności, jak rozpalanie ognia w piecach, zamiatanie podłóg, prasowanie. Do prasowania mieliśmy dwa żelazka - jedno z duszą, którą się rozgrzewało do czerwoności w piecu, zaś drugie na rozżarzone węgle.

Wzorem rodzin wiejskich, byliśmy prawie samowystarczalni. Kupowaliśmy jedynie naftę, sól i zapalki. Zamiast cukru używaliśmy syropu z buraków cukrowych, jaki mama sama warzyła. Nawet mydło mieliśmy własnego wyrobu. Robiła je mama, wytapiając potwornie śmierdzący łój. Ja przygotowywałem tekturowe foremki, w których odlewałem wytopione mydło w zgrabne kostki. Część wyprodukowanego mydła sprzedawaliśmy sąsiadom, a nawet siostra woziła je na sprzedaż do Stanisławowa.

Oczywiście smakowity chleb wypiekała mama sama w dużym piecu chlebowym, mieszczącym się z boku trzonu kuchennego. Takie piece chlebowe były, praktycznie biorąc, we wszystkich mieszkaniach na wsiach i w miasteczkach.

W okresie jesiennym mama robiła mnóstwo słoików z przetworami i sokami warzywnymi oraz owocowymi. Zawsze też kisiło się na zimę sporą beczkę kapusty. Jej krajanie, na wypożyczonej od sąsiada szatkownicy, wykonywała mama. Zaś ja miałem monopol na ugniatanie posiekanej kapusty w beczce nogami, jakie przedtem oczywiście starannie szorowałem.

Również mięso mieliśmy z własnej hodowli kur, królików i świń. To pozyskiwanie mięsa wiązało się, rzecz jasna, z uśmiercaniem hodowanych przez nas zwierząt. W normalnych rodzinach wiejskich proceder ten, to jak świt lub zachód słońca. Ja do tego nie mogłem się przyzwyczać.

Wszystkie egzekucje wykonywał ojciec. Z kurami i kogutami nie było prawie żadnego problemu. Trochę gwałtownego kwokania i szamotania się - w efekcie kilka kropel krwi na pniaczku i siekierze. Oskubanie, skróconych o głowę ptaków, należało już do mamy. Króliki umierały cichutko. Ojciec zgrabnie ściągał z nich futerka, jakie następnie przekazywał gdzieś do wygarbowania i wyprawienia. Nosiliśmy je potem poprząszone do kołnierzy naszych kurtek.

Natomiast świnioobicie to była dużo grubsza sprawa. Wieprzki, zabijane obuchem siekiery, kwiczały straszliwie. Ja chowałem się wtedy w jakimś kącie i zatykałem uszy. Ale ojciec twardo wzywał mnie do pomocy. Razem wciągaliśmy zwłoki do dużej, blaszanej balii, polewałem je wrzątkiem i pomagałem skrobać szczecinę specjalnie naostrzonym nożem. Na tym rola moja w zasadzie się kończyła. Rodzice nic więcej ode mnie już nie wymagali, choć sami mieli jeszcze bardzo dużo pracy przy patroszeniu, rozbiórce mięsa, a następnie przy wyrobie przeróżnych kiełbas, kiszek, salcesonów. Niekiedy tylko ochotniczo pomagałem przy wyrobie kiełbas i ich wędzeniu w ogródku, we własnej wędzarni, skonstruowanej przemysłnie przez ojca.

Świnie ubijane były zwykle po osiągnięciu przez nie optymalnej wagi 100-120 kilogramów. Jednak pamiętam również, że przy jakiejś okazji, ojciec uśmiercił małe kilkukilogramowe prosię. Upieczone można było jeść razem z kosteczkami.

Ale najstraszniejszą śmierć zwierzęcia, jaką widziałem i autentycznie przeżywałem

potem ze ściśniętym sercem przez wiele dni, to była śmierć konia. Do dziś pamiętam tego pięknego, karego rumaka wierzchowego i jego oczy, jakimi patrzył na mnie, kona-
jąc powoli. Lecz tego mordy, dokonanego zresztą przez mego wujka, profesjonalnego
rzeźnika, nie opiszę.

Przetwory mięsne były przechowywane w piwnicy w bryłach lodu, które ojciec w
czasie zimy wyrąbywał na pobliskim potoku. Lód z kolei mieszało się z trocinami, wów-
czas topniał bardzo powoli. Specjalnie długo mogła przechowywać się słonina peklowa-
na w soli kuchennej. Po dłuższym czasie nabierała ona żółtego koloru i smakowała
znakomicie. Była też, obok tytoniu, jakby żelazną walutą, za którą wszystko można było
otrzymać.

W okresie lata-jesieni matka „robiła” dużą butlę wina, najczęściej z płatków róży, w
czym się wyspecjalizowała. Wienięczyło ono potem, przez długie miesiące, wszelkie
uroczystości, przyjęcia i poczęstunki przy różnych okazjach. Natomiast rodzice nigdy
nie podejmowali się produkcji samogonu, tak popularnego w czasie wojny i zastępują-
cego trudnodostępne monopolowe trunki alkoholowe. Wytwarzanie bimbru było bowiem
zawsze nielegalne i ostro karane przez wszystkie władze. Zaś rodzice za dużo mieli do
stracenia, by w ten nierozważny sposób ryzykować jakieś represyjne działania aktual-
nych „stróżów porządku”.

Głównym naszym pożywieniem przez cały okres przebywania na kresach było
mleko i kukurydza. Mleka mieliśmy w nadmiarze, bo nasza Basia dawała po pół wiader-
ka na każdy udój, tak, że nawet odsprzedawaliśmy mleko sąsiadom, którym nosiłem je
w małych bańkach. Kukurydzę spożywało się w różnych postaciach, zwykle jako pod-
stawowe danie z mięsem, sosami, warzywami, na słodko z sokami, zaś najczęściej z
mlekiem. Na te dania mleczne mówiło się kulesza, albo mamałyga, w zależności od
konsystencji gotowanej mąki kukurydzianej.

Praca fizyczna i zdrowy sposób odżywiania spowodowały, że nabrałem siły, żeby
nie powiedzieć krzepy, gdy zawsze przedtem byłem raczej cherlawy i niepozorny. Nie
chorowałem też, jeśli nie liczyć pewnej epidemii grypy, która położyła do łóżka całą
moją rodzinę.

Również w zakresie ubiorów i obuwia byliśmy prawie zupełnie samowystarczalni.
Wszelkie koszule, sukienki, ubrania, płaszcze szyla mama na tej samej bardzo dobrej
maszynie, jaką zabraliśmy ze Śląska. Zaś sandały i trepy wyrabiał ojciec na własno-
ręcznie wyciosanych drewnianych kopytach. Kupował do tego tylko dratwę i skórę lub
stare obuwie i je przerabiał. Zimą wyplatał zgrabne, różnej wielkości, koszyki z wikliny,
zebranej z pobliskich mokradł. Te kosze były niekiedy sprzedawane lub wymieniane
na rzeczy nam potrzebne.

Ojciec własnoręcznie skonstruował też dwie ławy skrzyniowe, tak zwane bambetle,
które stały w kuchni. Po rozsunięciu ławy tworzyło się łóżko do spania, gdyż w skrzyni
był siennik wypchany słomą i puchowa pierzyna. Oczywiście skarpety oraz swetry robiły
mama i siostra na drutach. Ja też się nauczyłem, ale do mnie należało raczej prucie
starych sweterków i zwijanie włóczki w kłębki.

Przy tych wszystkich polowych i domowych pracach i czynnościach dla mnie oraz
siostry najważniejsza była jednak nauka. Rodzice oszczędzali nas i dbali o to, byśmy
mogli bez przeszkód chodzić do szkoły i spokojnie odrabiać zadane lekcje w domu.

Po raz pierwszy byłem w klasie koedukacyjnej. Chłopaków było jednak wyraźnie
więcej niż dziewczyn. Koledzy w klasie byli w większości bardzo ruchliwi, psocili, na
przerwach krzyczeli tak, że nie można było normalnie rozmawiać. Dziewczyny były o
wiele spokojniejsze, zwłaszcza dwie Żydówki, które siedziały w pierwszej ławce, podob-
nie jak ja. One też, obok mnie, uczyły się w klasie najlepiej. Prześcigaliśmy się niekiedy

w zgłaszaniu się do odpowiedzi.

Mieliśmy w siódmej klasie aż 12 przedmiotów. Wprost lubiłem algebrę, geometrię, fizykę, geografię i rysunki. Gorzej było z historią, polskim, nauką o konstytucji, najgorzej z językami ukraińskim i niemieckim.

W przypadku języka ukraińskiego istniała poważna bariera w opanowaniu tego języka. Mianowicie wpięrow należało nauczyć się czytać i pisać cyrylicą, starostowińskim alfabetem, używanym w krajach obrządku greckokatolickiego i prawosławnego. Ja tę umiejętność opanowałem jeszcze w 1939 roku przy pomocy mamy, przy czym korzystałem w nauce prawie wyłącznie z ukraińskich gazet.

Matematyki uczyłem się chętnie i szybko, przerabiałem na wyrost zadania z podręcznika, na lekcjach nieraz wrywałem się z odpowiedzią, zanim profesorka skończyła pytanie. Raz w czasie lekcji zostałem zawezwany do klasy ósmej, do której chodziła moja siostra i tam przy tablicy rozwiązałem jakieś zadanie matematyczne. Nikt w klasie nie potrafił sobie poradzić z tym zadaniem. Nie było to zapewne właściwe postępowanie pod względem pedagogicznym ze strony wykładowcy, ale ja byłem dumny z tego wyróżnienia.

Bardzo lubiłem geografie, orientowałem się szybko na mapie. I gdy były z tym kłopoty w klasie, to nauczyciel wzywał mnie do mapy. Chętnie sam wertowałem w domu świetny atlas geograficzny E. Romera, jaki kupiliśmy tuż przed wojną. Zdecydowanie najlepiej w klasie rysowałem. Moje rysunki wisiały na korytarzu i zamieszczałem je w klasowej gazecie ściennej. Kilka moich rysunków zostały przez szkołę wystawnych na wystawę rysunków szkolnych do Kijowa i Charkowa.

Bardzo szczególne były wykłady z historii. Nasz wykładowca profesor Pohorille był oryginałem w każdym calu. Świetny znawca historii świata i Polski mówił ze swadą oraz tubalnym głosem, jednakże nigdy nie patrzył na rozmówcę, tylko bokiem w jakiś nieokreślony punkt. Wykorzystując to, chłopcy urządzali psoty, jakby żywcem wzięte z powieści „Szatan z siódmej klasy” Kornela Makuszyńskiego. Obrzucali się papierowymi kulkami, w powietrzu latały samolociki, zaś tablica, na której zawieszona była mapa, wędrowała po klasie, ciągnięta skrycie na sznurku. Oczywiście zauważał to, pieniał się ze złości i wykrzykiwał bezradny jakieś pogrożki. Ale nigdy nie orientował się, kto jest sprawcą psoty.

Raz przelała się miarka, gdy w klasie wybuchła petarda z hukiem, jakby detonował granat. Przerwał wtedy lekcję i krzycząc, że sabotaż, pobiegł do dyrektorki. Potem, do końca lekcji, było jej kazanie, które wszyscy wysłuchaliśmy stojąc na baczność, i przesłuchanie, ciągnące się tak długo, aż znalazł się winowajca. Zgłosił się sam wobec groźby ściągania wszystkich rodziców itp.

Przez dwie godziny w tygodniu mieliśmy lekcje z przysposobienia obronnego, jakie prowadził młody oficer rosyjski, oczywiście po rosyjsku. Uczyliśmy się obsługiwać broń ręczną, rzucać granaty, były też wykłady o tematyce wojskowo-politycznej. Prowadzący lekcje oficer pokazywał nam na mapach przebieg wojny w Libii i na Bałkanach. Pamiętam, że mówił nam wprost, że niedługo będzie wojna Rosji z Niemcami i że ZSRR wykorzystuje czas pokoju na intensywne zbrojenia wojenne.

Obserwowałem akurat wyrazisty tego przykład, gdyż w odległych o około 30 kilometrów Podhajcach budowano pośpiesznie duże lotnisko wojskowe. Na budowie tej zatrudnionych było wielu mieszkańców naszych Monasterzysk i okolicznych wiosek, wraz z konnymi podwodami.

W ramach tych zajęć z „osoawiachimu”, jak się mówiło, mieliśmy raz całodzienne manewry na okolicznych polach i w lasach. Biegaliśmy tyralierą po polach z drewnianymi karabinami, a w lesie starliśmy się z „wrogiem”, którym byli chłopcy ze szkoły ukraińskiej. Różniliśmy się kolorem opasek, jakie mieliśmy wszyscy na lewym ramieniu.

Oni mieli opaski zielone, my niebieskie. O wynikach „bitwy” miało zadecydować zerwanie nieprzyjacielowi ich opasek. Przegraliśmy, my ze szkoły polskiej, bo oni, łobuzy, mieli opaski przypisywane do rękawów bluzek.

Nie przyjaźniłem się specjalnie z nikim w mojej klasie, natomiast miałem serdecznego kolegę Jurka w równoległej klasie VIb, a potem VIIIb. Ja chodziłem wówczas do klasy VIa i VIIa. Mieliśmy wyjątkowo zgodne charaktery i zainteresowania. Potrafiliśmy godzinami błądzić po okolicy i dyskutować o nauczanych przedmiotach, przeczytanych książkach, filmach, astronomii, a nawet o systemach filozoficznych.

Graliśmy obaj w szachy w klubie młodzieżowym, przy czym ja byłem w tym lepszy. Mocniejszy też byłem w matematyce i fizyce, on natomiast był znakomitym humanistą. Pisywał piękne wypracowania z polskiego. Obaj redagowaliśmy gazetki ścienne w swych klasach. Moja nazywała się „NA PRZEBOJ” i byłem autorem większości zamieszczanych w niej artykułów, rysunków, zadań i krzyżówek. Pamiętam, jak raz z zazdrością czytałem, już po godzinach lekcyjnych, fantastyczny artykuł pod banalnym tytułem „Widok z mojego okna”, napisany przez Jurka Kruszkę w jego gazecie.

Miałem także kilku kolegów z najbliższego sąsiedztwa. Chodziliśmy do jedyne go kina w miasteczku. Pamiętam jeden film z tego okresu z Lubow Orłową pod tytułem „Świat się śmieje”. Jeździliśmy też na rowerach, najczęściej w kierunku Buczacza. Wprawdzie po drodze musieliśmy pokonać górę, pod którą trzeba było rower prowadzić, ale za to zjeżdżało się potem z szybkością wiatru. Wszystkie boczne drogi były grunto we, zaś główne i wylotowe miały nawierzchnię z kocich łbów. Jeździło się po nich rowe rem jak po pralce, więc zwykle korzystaliśmy ze ścieżek wydeptanych na poboczach.

Kąpałiśmy się w pobliskim stawie-gliniance, który był bardzo głęboki. Raz najzwyczajniej topiłem się, lecz kolega wyciągnął mnie na brzeg. Od tego czasu mam awersję do kąpania się, za wyjątkiem kąpieli w wannie, oczywiście.

Moja siostra miała znacznie bogatsze życie koleżeńskie. Otoczona była stale rojem koleżanek i kolegów. Większość z nich dojeżdżała wcześniej do Stanisławowa, potem razem chodzili do ósmej klasy. Umawiali się na majówki pod miastem oraz na prywatki, urządzone w mieszkaniach. Takie potańcówki były i u nas w domu, jak również często przychodziły do nas koleżanki i koledzy siostry. Oczywiście, poszczególne pary sympatyzowały ze sobą. Także moja siostra miała, jak mi się wydawało, coraz to inną sympatię. Wszyscy byli co najmniej o rok-dwa starsi ode mnie. Przy moich 15 latach to była duża różnica i ja w żadnym razie nie pasowałem do ich „paczki”. Te koleżeństwa i znajomości siostra utrzymywała również po wojnie przez dziesiątki lat.

Mój ojciec przeobraził się całkowicie w gospodarza. Miał więc status hadziaja, czyli rolnika, co było świetnym kamuflażem jego przedwojennego stanowiska zawodowego wojskowego. Nikt o jego przeszłości praktycznie nie wiedział, za wyjątkiem członków rodziny.

Rodzice skrupulatnie płacili podatki i wywiązywali się z kontyngentów w naturze, należnych z tytułu posiadanej ziemi, żeby w żadnym wypadku nie spowodować jakiegoś zadrażnienia z władzami. Szczególnie pozytywne znaczenie miała plantacja tytoniu, jaką posiadaliśmy. Wszelkie sprawy w urzędach załatwiała sama mama, która świetnie znała język ukraiński, podczas gdy ojciec nie potrafił przeczytać po ukraińsku nawet kilku zdań. To też ograniczał swoje znajomości tylko do Polaków z najbliższego sąsiedztwa.

Rodzice mogli czuć się zagrożonymi, zwłaszcza w pewnych, szczególnie groźnych dla nas sytuacjach. Już w pierwszych miesiącach miało miejsce przekazywanie Niemcom rodzin polskich, zamieszkałych przed wybuchem wojny na terenach zajętych przez

III Rzeszę. To byłoby dla ojca i dla nas tragiczne. Ale w danych ewidencji ludności w urzędzie miejskim nie było żadnej wzmianki o naszym zamieszkiwaniu na Śląsku. Przyczynił się do tego zapewne ojciec mamy, który w 1939 r. był jeszcze radnym miejskim i miał odpowiednie znajomości w biurze meldunkowym. Niemale znaczenie miało zapewne też to, że mama pochodziła z Monasterzysk oraz, że moja siostra i ja urodziliśmy się na tych terenach, na Pokuciu.

Generalnie dokonywała się wówczas degradacja pozycji polskich i zaczęły się różnego rodzaju represje w stosunku do ludności polskiej. W wyborach do władz lokalnych pod koniec października wybrani zostali głównie Ukraińcy miejscowi lub przybyli ze Wschodu. Po czym 15 listopada południowo-wschodnie tereny Polski, zajęte przez ZSRR, włączone zostały administracyjnie do Ukraińskiej SRR, północno-wschodnie do Białoruskiej SRR, a Wileńszczyzna przekazana Litwie.

Już sama kampania wyborcza prowadzona była w atmosferze wrogości do Polaków i „jaśniepańskiej Polski”, jak mówiono. Rugowano masowo Polaków z urzędów, służb komunalnych, poczty, kolei. Konfiskowane były majątki ziemiańskie oraz kościelne, które rozparcelowano między ludność ukraińską.

Zaś od lutego 1940 r. rozpoczęły się deportacje polskiej ludności w głąb ZSRR. Pierwsza deportacja objęła osadników wojskowych i rodziny chłopów mazurskich, osiedlone na kresach po niekorzystnym dla Polski plebiscycie na Warmii i Mazurach. Ich los w międzywojennej Polsce był bardzo marny, nie lepszy niż chłopów rodzimych. Ci zaś, co pozostali, w następnych latach w pierwszej kolejności, ulegli eksterminacji przez UPA. Ich ziemie i pozostawiony inwentarz żywy przypadł ludności ukraińskiej. Deportacje odbywały się w krytych wagonach towarowych z zakratowanymi okienkami. Widziałem je kilka razy na stacji kolejowej w Monasterzyskach. Wówczas przenosiliśmy się na dzień-dwa do wuja Ferdka, gdzie skrycie nocowaliśmy.

Następne wywózki w kwietniu i czerwcu 1940 r. objęły głównie rodziny wyższych urzędników, policjantów, wojskowych i ziemiaństwo. Kwalifikowaliśmy się jak najbardziej do tych transportów, ale we wszelkich oficjalnych dokumentach ojciec figurował jako drobny rolnik, najwidoczniej bez jakiegokolwiek wzmianki, że przez 18 lat był zawodowym wojskowym Straży Granicznej. To też wszelkie represje, nękające innych współrodaków w tamtych, niedobrych latach, omijały moją rodzinę, zaś ja nawet z tych zagrożeń nie w pełni zdawałem sobie sprawę.

Gdzieś od połowy 1940 r. rodzice wynajmowali jeden pokój z werandą rodzinie uciekinierów z Krakowa. On jednakże od razu wyjechał, bodaj za pracą do Stanisławowa, pozostawiając żonę i 10-letnią córeczkę, Mirkę. Pani ta była wcześniej nauczycielką i zdecydowanie różniła się od mojej mamy. Przede wszystkim tym, że moja mama potrafiła wszystko zrobić, była bardzo pracowita i potrafiła się przystosować nawet do tak różnych warunków egzystencji, jakie mieliśmy tam na wschodzie w stosunku do sytuacji na Śląsku.

Nasza sublokatorka tymczasem była niezwykle sympatyczna, rozmowna i dbająca o siebie, ale pochodząc z mieszczańskiej rodziny nie potrafiła dostosować się do ciężkiej rzeczywistości. Nie mogąc pracować w swym zawodzie, nie miała szans na zapracowanie na swe i córki utrzymanie. Żyła z jakichś posiadanych oszczędności, ze sprzedaży biżuterii, czy czegoś podobnego.

Córeczka była prześliczna, pełna życia i pięknie śpiewała. Oczywiście podkochi-



Rodzice w Monasterzyskach

wałem się w niej, jeśli tak można powiedzieć, na skalę moich 15 lat. Mirka towarzyszyła mi w różnych moich pracach, pomagałem jej w rachunkach, graliśmy w karty i chińczyka. Zaręczyliśmy się nawet drucianymi obrączkami, przy czym była to, oczywiście, wyłączna jej inicjatywa. Gdy wracała z mamą z miasta, wyprzedzała ją jodując, i przechodziła do ogródka przez dziurę w płocie. Ja na nią już tam czekałem.

Wiosną 1941 r. wyjechała nagle wraz ze swą mamą do Stanisławowa. Były wówczas wielkie opady deszczu i powódzie. Uszkodzony został nawet przez żywioł wodny most kolejowy na Dniestrze. Zaś ja przez dłuższy czas byłem niepokieszony, naturalnie nie z powodu tego mostu.

W ciągu 1940 i pierwszej połowy 1941 r. zasadniczo zmieniła się mapa oraz sytuacja polityczna i wojskowa Europy. W okresie trzech miesięcy kwiecień-czerwiec 1940 r. Niemcy podbili w błyskawicznych kampaniach wszystkie państwa kontynentalne Zachodniej Europy. Broniła się już tylko wyspiarska Anglia, nękana nalotami oraz wojną na Morzu Północnym i Oceanie Atlantyckim.

W czerwcu przeszły przez Monasterzyska w kierunku Buczacza i Zaleszczyk wielkie oddziały kawalerii. Jeźdźcy jechali stępą po czterech w szeregu prawie na całej szerokości jezdni. Żeby przejść na jej drugą stronę, musiałem długo czekać, by wykorzystać przerwę w szwadronach, czy pułkach. Za kilka dni Rosjanie zajęli wtedy Besarabię i Górny Bukowinę, stanowiące terytorium Rumunii. Państwo to zresztą niedługo, bo we wrześniu tego roku, utraciło również prowincję Siedmiogrodu na rzecz Węgier i Południową Dobrudżę na rzecz Bułgarii. Po czym, po abdykacji króla Karola II i przejęciu władzy przez gen. Antonescu - Rumunia przyłączyła się do „Paktu Trzech”, jaki tworzyły III Rzesza, Włochy i Japonia.

W krótkim czasie to samo uczyniły Węgry, Słowacja, Bułgaria i Finlandia. Natomiast w ostatnich dniach sierpnia trzy państwa bałtyckie Litwa, Łotwa i Estonia zostały włączone do ZSRR, zresztą po wcześniejszym o dwa miesiące zajęciu tych państw przez Armię Czerwoną. Zaś w następnym 1941 r., w miesiącu kwietniu, w krótkiej, trzytygodniowej kampanii wojennej Niemcy opanowały Jugosławię i Grecję.

W ten sposób w Europie, jeśli pominąć neutralne Szwecję i Szwajcarię, państwa „Osi”, to jest Niemcy i Włochy miały już tylko jednego aktywnego wroga, z którym prowadziły wojnę - Wielką Brytanię i drugiego, potencjalnego wroga - Związek Radziecki.

Późną wiosną 1941 r. miały miejsce wystąpienia nacjonalistycznej organizacji ukraińskiej OUN wobec władz „Zapadnoji Ukrainy”, jak określano byłe pld.-wsch. województwa. Między innymi w Monasterzyskach zabity został prokurator rejonowy, Rosjanin. Władze dopiero wtedy zorientowały się, że w podziemiu, w oparciu o pomoc niemiecką, Ukraińcy rozbudowują struktury organizacyjne do walki z ZSRR. Nacjonałści ukraińscy chcieli bowiem utworzenia całkowicie niepodległej Ukrainy, o której myśleli, że powstanie po wojennym zwycięstwie Niemiec.

Rozpoczęły się wtedy pewne aresztowania Ukraińców, związanych z podziemnymi organizacjami wojskowo-politycznymi, sposobiącymi się do walk dywersyjnych u boku Niemiec. Ale na uczynienie im jakichś większych szkód nie było już czasu, wobec bliskiego terminu napaści Hitlera na Związek Radziecki.

Dnia 12 czerwca 1941 r. otrzymałem świadectwo ukończenia siódmej klasy. Obejmowało ono oceny kwartalne, roczne, ustne, pisemne i ogólne - razem 66 stopni. Wszystkie bardzo dobre z wyjątkiem dwóch dobrych ocen z konstytucji.